Emigracyjni kapłani i łacinnicy

Ks. Tadeusz Kirschke kapelan Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachim, publicysta. Współpracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w latach 1952 – 1981, fot. wikipedia, domena publiczna.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Nasza emigracja żołnierska miała znakomitych kapłanów, że wspomnę jeszcze dwóch: ks. Tadeusza Kirschke (1908-1996), mądrego, wyrozumiałego i pogodnego człowieka, z którym mieszkałem w polskim hospicjum na londyńskim Earl's Court. Robiliśmy mu różne burszowskie kawały, jak np. wystawiali gazetkę: "Vanitas" *(marność, red.)*, kiedy schodziła się młodzież na zebrania przez niego prowadzonego

koła “Veritas” *(prawda, red.)*. Potem rozsławiło go radio Wolna Europa, lecz niewielu pamięta, że wojnę przeżył w obozie jenieckim w Murnau i cudem uniknął śmierci, na którą został skazany za konspirację w niewoli.

Innym ocalałym kapłanem był ks. prałat Zdzisław Peszkowski (ur. 1918), potem w Polsce widoczny jako kapelan Rodziny Katyńskiej. Ostatnie z nim spotkanie miało miejsce w polskim seminarium Orchard Park koło Detroit, a jego antologię poezji maryjnej hołubię jeszcze od Londynu.

***

Ks. Stanisław Bełch ślęczał nad edycją łacińskich pism rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Pawła Włodkowica. Bywał on w USA, by zastępować proboszczów wybierających się na urlopy. Parafianie z rewerencją tytułowali go mianem “księdza autora”.

***

Kiedy w Anglii przedstawiałem żonę ks. arcybiskupowi Gawlinie (1892-1964), ten spytał, czy ona również “rządzi”, tj mówi gwarą śląską (Gawlina był spod Raciborza). Odpowiedziałem, że owszem “rządzi”, ale w ogólnopolskim znaczeniu tego słowa.

***

Miałem szczeście do łacinników-pasjonatów, choć nie pamiętam imion dwu najważniejszych, a ich instytucje nie przechowały o nich pamięci. Pierwszym moim mistrzem był “Kanciok”, Rój, w Tarnowskich Górach, tuż przed wybuchem wojny, był surowy, ale jakoś stałem się jego ulubieńcem.

W Szkocji moim profesorem był Besaga, nie pomnę imienia i nie wiem jak pisać jego nazwisko, tak wymownie przedstawił Wergilego, że wojskowa brać zorganizowała specjalny wieczór zatytułowany “Nasz przyjaciel Maro”. Wśród przekładów recytowano także moje wersje łacińskich urywków Wergiliusza. Potem wydrukowałem w londyńskim “Życiu” przekład czwartej eklogi, “mesjanistycznej” tego poety, ale uwieńczeniem moich zachodów było wręczenie tego tekstu wielkiemu szampionowi klasyki, Janowi Parandowskiemu (1895-1978), kiedy odwiedził Londyn, a ja pośpieszyłem do British Museum, by na jego stopniach spotkać się z nim na

pamiętny moment.

Wilno w poezji i obiektywie

Troki, Litwa, fot. Tadeusz Szostak.

Aleksander Lewicki *(Wilno)*

Stworzony z gliny,

Dusza od Boga

A ciało z Ziemi Matki…

I zostało w pamięci

Moich kości i krwi…

Razem z wiosną ożywam

W trawie, kwiatach,

Kwitnących sadach…

Moje ręce obejmując

Gałązkę jabłoni

Stają się gałęziami

Kwitnących kwiatów…

Padam w pachnące trawy

i już w ich korzeniach…

Ziemia Matka tuli

Swego kochanego syna

i upomina, że jestem

Jej własnością,

A Ona – własnością Boga…

***

Tadeusz Szostak *(Austin, Teksas)*

Wilno

Wilno

Aleksander Lewicki *(Wilno)*

Uniósł mnie duch

W swoje zaświaty…

Gdzie ludzi nie ma,

Wierzby nie rosną,

Rzeki nie płyną,

Kwiaty nie kwitną…

Zniknęło moje ”ja”

Stałem się nędznym kurzem…

Wszystko wirowało

Wciągało do siebie

Z dzikim rykiem

I zgrozą…

Droga do otchłani

Zło tryumfowało…

Tylko jedno westchnienie,

Jedna myśl…do Boga…

Radość nie do opisania!

Dalekie Światło wołało

Mnie nędznego, zagubionego…

Czule otuliło Miłością!

Rozkochało w Sobie

Ożyłem i byłem…

Nie ma takiej Miłości na ziemi,

Tylko Bóg umie tak Kochać!

Dusza poznała Swego Ojca

I nie chciała niczego innego

***

Tadeusz Szostak *(Austin, Teksas)*

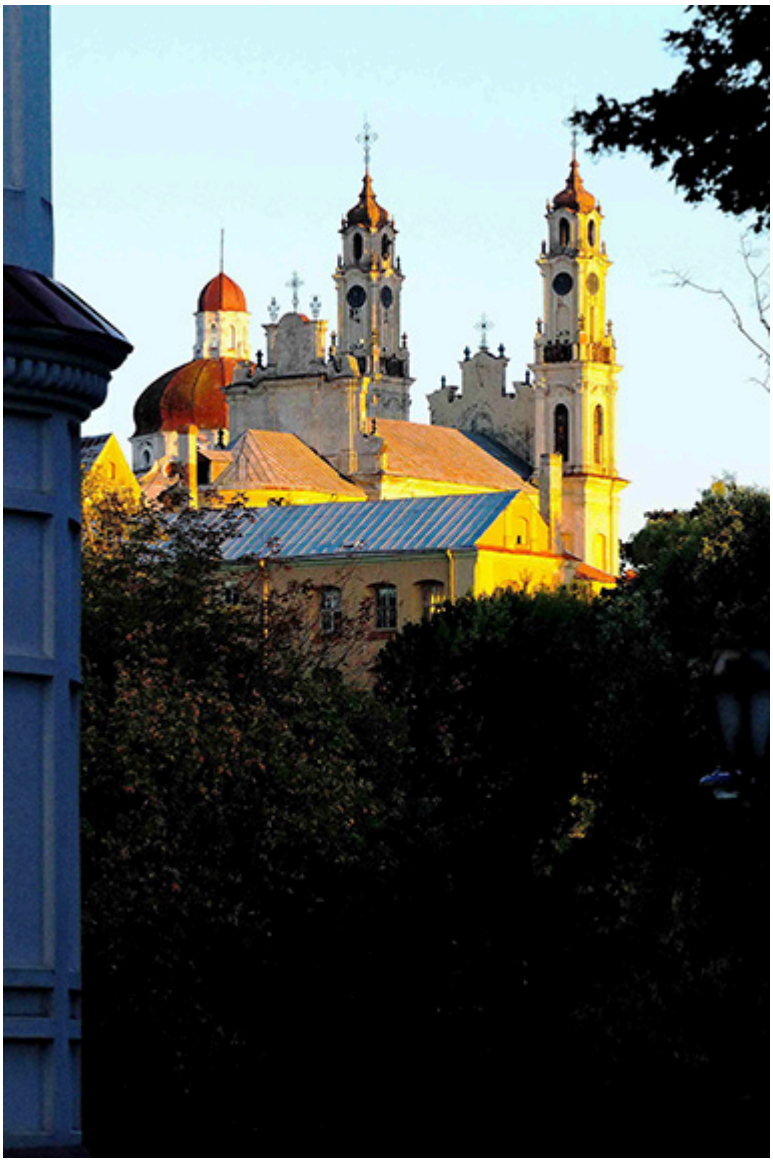

Wilno

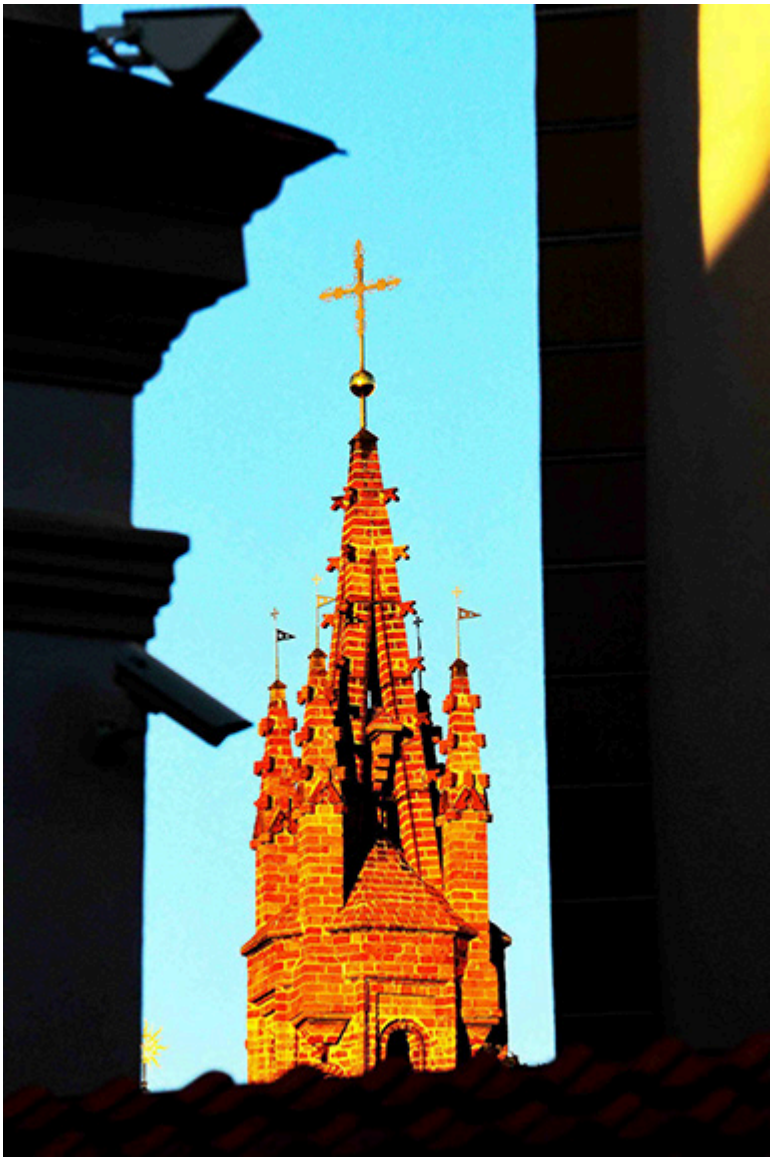

Wilno

Aleksander Lewicki *(Wilno)*

Złociste pole żytnie

Jak włosy dziewczyny,

Ziarno dojrzałe

Jak brzemienna kobieta…

Chabry pieszczące oko

Jak postać kochanej…

Motyle tańcują taniec,

Taniec weselny…

Rozkochany w tej piękności

Duch mój wyśpiewywał

Hymny Panu Bogu,

Wielbiąc Jego Dzieło!

W blasku słońca

Ujrzałem ciebie z kwiatem

Wplecionym we włosach

I zapomniałem o swoich latach…

Twoja młodość i piękność

Uwiodła mnie

Na pierzynę z żytnich kłosów…

Zapomnieliśmy o dniu wspaniałym,

Bo noc już gwiazdy sypała…

A my szczęśliwi staliśmy się

Polem, żytnim polem

Ty kłosem… i ja kłosem,

Nie żałując sobie

Złotego pyłu…

***

Tadeusz Szostak *(Austin, Teksas)*

Wilno

Wilno

Wilno

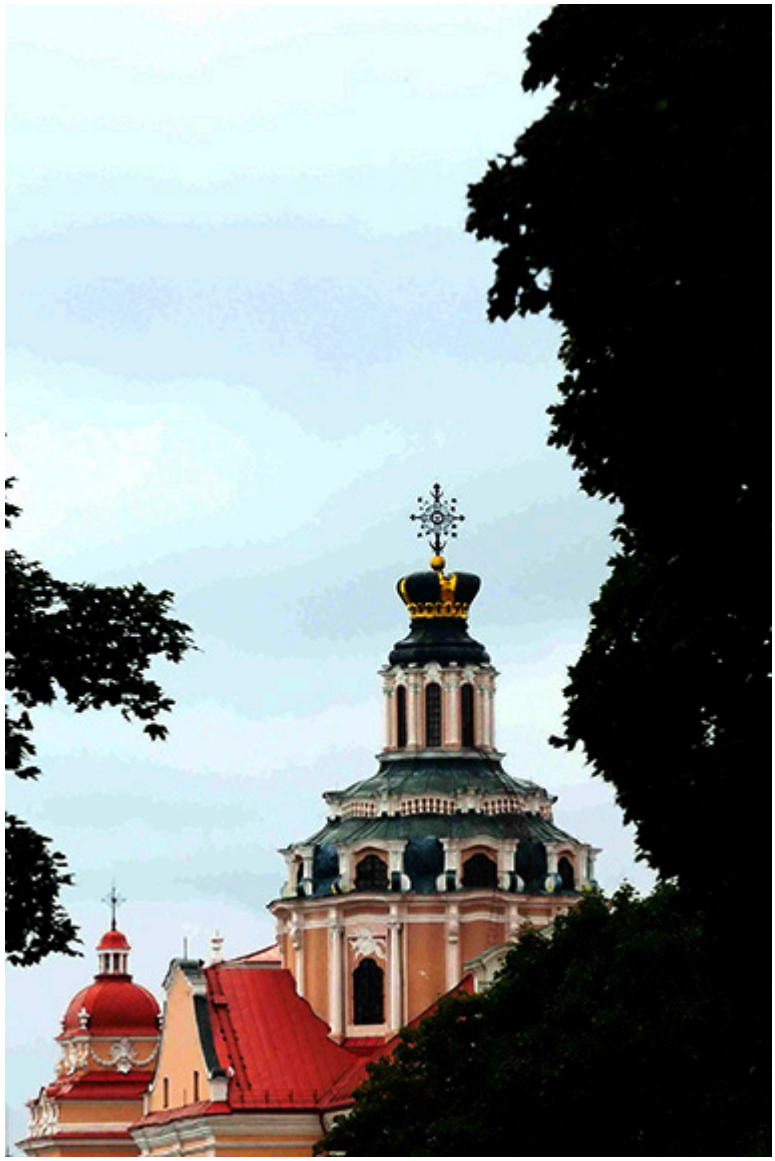

Wilno

O Aleksandrze Lewickim:

https://www.cultureave.com/noc-i-inne-wiersze-z-wilna/

Koniec świata Orzeszkowej

Barbara Gruszka-Zych

Teresa i Tadeusz Bohatyrowicze

– Jak opisywała pani Eliza Orzeszkowa, nasi przodkowie tu żyją od 450 lat. Wszystko my z tej książki wiemy – opowiadają Teresa i Tadeusz Bohatyrowiczowie.

„Nad Niemnem” zastępuje im księgi parafialne i drzewo genealogiczne. Nie tak dawno studenci z Polski przywieźli im wydanie okazałe, jednotomowe. Ale ostatnio gdzieś się zapodziało. Tak jak dawna świetność opisywanego w powieści zaścianka.

Bohatyrowicze na białoruskiej mapie trudno znaleźć. Choć wiadomo, że leżą blisko Grodna. Przy błękitnej linii Niemna. – *Mała dieriewnia* – usprawiedliwiają się nie znający jej Białorusini. To jeden z ważniejszych punktów programu wycieczek z Polski. Zna je każdy, kto przeczytał powieść Orzeszkowej. Ale w tym roku od maja

zatrzymały się tu tylko cztery autokary. – Jak się rozpadł Sowiecki Sojuz to zaczęły tu jeździć wycieczki. Teraz na granicy kłopoty są. A kiedy nasi przyjeżdżają, przywożą ojczysty język i wszystko odżywa – mówią gospodarze.

Przez duże „M”

Nie zauważamy stojących przy drodze drewnianych świątków wskazujących drogę. Brak napisów. Żeby zapytać podjeżdżamy pod otwarte drzwi obory. Okazuje się, że należy do kołchozu. Kilkanaście byków hodowanych na mięso stoi po kolana w gnoju. Przez szum much robotnik tłumaczy, że Mogiła w lesie obok, w Milewiczach. – Tu Bohatyrowicze – katolickie, Milewicze – prawosławne – mówi. Z pierwszej chaty Milewicz wyskakuje chętna do oprowadzenia Sudakija Kemko. Zmienia fartuch na wyjściowy, poprawia chustkę. – Mama Wiktoria Żukiewicz też była Polką – opowiada po rosyjsku. Sudakija została tu z mężem, dzieci poszły do miasta. W wiosce mieszka 16 osób. Idziemy na skróty przez las sosnowy. Pachnie żywicą. Tu wybrali się na patriotyczną ”randkę” bohaterowie „Nad Niemnem” Justyna Orzelska i Jan Bohatyrowicz. Do Mogiły z 1863 r. Pisanej z dużej litery. Błyska metalowy krzyż na kopczyku. Miejsce pochówku czterdziestu powstańców. Świeży wieniec od młodzieży z Lublina. – Tu będzie Msza latem, dużo ludzi przyjedzie – cieszy się przewodniczka. Potem zaczepiając spódnicą trawy podprowadza nas na bagnisty brzeg Niemna.

Mogiła 1863 r.

Sudakija Kemko

Zbutwiała ławeczka

Do domu państwa Bohatyrowiczów docieramy dzięki szóstoklasiście Denisowi – Białorusinowi z Grodna. Wie, że oni Polaków oprowadzają. – Kiedyś w Niemnie był żwirek, piaseczek i czyściutka woda – opowiada Teresa, wyprostowana, uśmiechnięta. (- Teraz ja już nie ta, siedemdziesiąt lat – mówi o sobie). U każdego gospodarza była swoja łódka. Dwa filmy tu nakręcili, pierwszy za polskich czasów. Bardzo lubię w powieści pani Orzeszkowej moment, jak to tratwy płyną po rzece. Szeroko, dostojnie. Ona moja ukochana. Dzisiaj brudna, ryby w niej nawet łapią byle jak, na prąd. W wiosce niewiele zostało z czasów powieści. – Tu był dom pana Klemensa Strzałkowskiego – gospodarze pokazują zrujnowaną budowlę naprzeciw ich domu. Potem przez wysokie trawy przedzieramy się do powieściowego dworu

Korczyńskich, na prawdę posiadłości Kamińskich. Z boku dostojna aleja dębów prowadzi w nadniemeńskie chaszcze. Kiedyś unosił się tu kurz spod kół powozów jadących do dworu. Z zarośli sterczą resztki ruin spalonych w czasie wojny. W dole lśni Niemen. Tu przed wojną przybijały do brzegu dwa statki pasażerskie z Grodna. „Jagiełło” i „Jadwiga” z letnikami. – Raz chodziłam tu ze starszą panią z wnuczkiem – mówi Teresa. – Biegała radośnie i robiła zdjęcia. „Czego babcia szuka po tych krzakach?” – dziwił się nie rozumiejąc wnuk. A tu puste miejsce między dębami, zbutwiała ławeczka, na której pani Orzeszkowa książkę pisała. Najlepiej zachowano grób Jana i Cecylii z XVI wieku. Ale i on po wielokrotnych rekonstrukcjach. Teresa: – Jak byłam mała chodziłam tam z babcią na Msze, bo nową figurę poświęcili. Ale drewno zgniło i teraźniejszy pomnik postawił priedsiedatiel kołchozu.

Grób Jana i Cecylii

Grób Jana i Cecylii

Młodych nie ma

Nazwa Bohatyrowicze wzięła się stąd, że bohaterscy byli tutejsi mieszkańcy. Trwali przy ziemi zachowując jej polskość. – W naszej okoliczce 8 osób zostało – skarżą się państwo Bohatyrowiczowie. – I wszystkie takie dożywające jak my. Dwie córki i syn przenieśli się do Grodna. Wracają na wiosnę i lato. Na kupionej działce hodują kapustę, pomidory, marchew, buraki, cebulę. Z tego, co zarobią żyją jesienią i zimą – mówi ojciec. – Mamy też wnuki Witalija i Jurę, oni się czują Polakami. Starsi państwo sadzą ziemniaki na polu dzierżawionym od kołchozu. I pomidory wokół domu. – Wszystko zapuszczone, bo młodych nie ma – mówią. – I domy stare, i obejścia i ludzie – skarży się 67-letnia Irena Strzałkowska, która przybiegła, myśląc, że sprzedajemy kurki. – Młodzi poszli do miasta, a my na cmentarz, od tego nikt nie się odkupi. (Jej 90-letnia mama Anna Bohatyrowicz mieszka koło grobu Jana i Cecylii.) Kto będzie o

wioskę dbać? – Czy ojczyzna to dla was Bohatyrowicze? – pytam. – To dla nas Polska, całe życie tu przeżyłam – odpowiada Teresa. – I mąż też stąd. Kto wyjechał, to ma dużo lepiej. Ale ojciec męża, Stanisław, powtarzał: – Gdzie pojedziecie, kto wam co da? Na jednym miejscu kamień niech obrasta.

Zimą, ledwie zrobi się szaro, wieś zamiera, wszyscy idą spać. Ani jednego płomyczka w oknach. Tylko Tadeusz do późnej nocy ogląda polską telewizję.

Drogowskaz

Dawni i młodzi twórcy

Bolesław Taborski. Kadr z filmu „Moje Powstanie” w reżyserii Anny Taborskiej.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Z dystansu czasu garstka dziewięciu młodych polskich studentów, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego stulecia znalazła się w Londynie, nie przestaje zadziwiać swoją postawą i losami. Wymienię ich nazwiska alfabetycznie: **Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Jan Darowski, Janusz Ihnatowicz, Zygmunt Ławrynowicz, Mieczysław Paszkiewicz, Florian Śmieja** i **Bolesław Taborski**. Zaczęli wtedy wspólnie wydawać swoje pisma i pierwsze książki. Znalazlszy się na bezpiecznym i zasobnym Zachodzie ludzie ci, po uciążliwych przejściach przez Sowiety i wojenną Europę, opanowali język angielski,

ale… choć zdobyli brytyjskie dyplomy uniwersyteckie, sercem przylgnęli do języka i dziedzictwa polskiej ojczyzny. Pozbawieni z paru wyjątkami domu rodzicielskiego w niesprzyjających warunkach douczyli się języka polskiego i władali nim do tego stopnia, że potrafili go po mistrzowsku używać.

Może zajęli stanowisko reakcyjne, nieżyciowe, niepazerne, niezrozumiałe dla młodszych roczników marzących o wydostaniu się czym prędzej z Polski i robieniu kariery na Zachodzie.

Może jednak, ci młodzi ratowali duszę ukształtowaną przez międzywojenny etos wychowania i oświaty w Polsce, i dali świadectwo pogrobowców wartościom utraconej ojczyzny, spadkowi trudnego dziedzictwa.

Patrzącego na dokonania tych niewyobcowanych przez wojnę i Zachód młodych, zdumiewa bogactwo ich osiągnięć. Rodzi się pytanie: skąd wzięła się ich niespożyta energia i ambitne inicjatywy, by zrobić coś dla Polski, by przysporzyć jej chwały mimo, że Polska nie dała im ani wykształcenia, ani zawodu, ani pracy czy wynagrodzenia, ba, nawet uznania? Co było motorem ich aktywności ? I dochodzę do wniosku,że chyba tylko bezintresowne, synowskie przywiązanie i poczucie moralnego obowiązku.

Jeden z nich, **Bolesław Taborski** został w 2007 roku wyróżniony przez Związek Pisarzy Polskich za Granicą nagrodą za całokształt twórczości literackiej. Urodził się w 1927 roku w Toruniu, wziął jeszcze jako młodzik udział w Powstaniu Warszawskim, skończył teatrologię na uniwersytecie angielskim w Bristolu, a następnie pracował w polskiej sekcji BBC. Oprócz dwudziestu kilku tomów poezji, które wydał, opublikował m.in. książkę o Ojcu św., przetłumaczył sztuki Papieża na angielski, eseje Jana Kotta o Szekspirze, a na język polski, powieść Grahama Greene'a i dwadzieścia sztuk teatralnych noblisty, Harolda Pintera. Bolesław Taborski , mieszkający od 1953 roku w Londynie , ogromnie życzliwy i koleżeński społecznik, jeździł regularnie do Polski i udzielał się szczodrze w polskim życiu teatralnym. Zmarł w Londynie w 2010 r.

Pomiędzy

Romuald Mieczkowski *(Wilno/Warszawa)*

Romuald Mieczkowski w Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas.

Dwie rzeki

Wilia i Wisła –
pomiędzy rzekami dwoma
moje życie płynie

O co w życiu chodzi

Wiemy jak żyć należy
lecz nie ma czasu
żeby tak żyć

Czyż o to w życiu chodzi –
by czasu nie było
żeby żyć?

Rodzice

Jacyż młodzi, radośni i szczęśliwi
wprost promieniści naiwnie
bo się udało im namówić chłopczyka
o włosach białych jak mleko
by przetrzymał przez krótką chwilę
wiązankę sztucznych kwiatów
w oczekiwaniu na cudownego ptaszka
co miał wyfrunąć z ciemni atelier
ale czy tak naprawdę wyfrunął?

Skądże mogłem wiedzieć wtedy
że czas rozpoczął lat mych odmierzanie
i zakręcił raz na zawsze swe koło

Patrzę na rodziców tak pięknie młodych
chłopczyk uśmiechający się kwaśno
to ja w lipcu 1952 roku –
i bieg swój czas na chwilę wstrzymuje

Autor z rodzicami w 1952 roku. Zdjęcie nawiązuje do wiersza pt. „Rodzice” z tomiku „Pomiędzy”.

Stół z czasów nadziei

Po tym jak rozebrano dom w Fabianiszkach
jego duma dębowy stół-olbrzym
przytułek swój znalazł w pokoju niedużym
na piątym piętrze szarego bloku

Z blatem rozsuwanym na wyjątkowe okazje
mieścił wokół siebie dwadzieścia parę osób
dzieci pod nim bawiły się w chowanego
podczas biesiady pies spokojnie drzemał

Jak misternie rzeźbione ma nogi ten stół –
z niekłamaną nadzieją na dobrobytu czas
ileż to pokoleń on widział i przygarniał
a teraz na nim samotnie wazon stoi –

Czeka stół aż spełni swe przeznaczenie
i usiądzie przy nim rodzina przybyła z daleka
by wspominać tych których nie ma
co wokół niego niegdyś razem zasiadali

Zabory

Gnębili nas ruscy na rubieżach
palili i odbierali wszystko
wywozili całymi rodzinami tam
skąd trudno było powrócić –

Kiedy żelazna kurtyna upadła
byłem i ja w paryżach i berlinach
bo żyję w Europie bez granic
choć i bez ziemi własnej

Ostałem się na bruku Warszawy
do której modlili się moi rodzice
i jaką od dzieciństwa ukochałem –
czemu więc w samym sercu polskości
nocą zakrzyczeć chcę pieśnią ruską

Sam na sam z Ostrobramską

Trzeba było przez tyle lat czekać
tej szczególnej chwili

By pójść przed siebie
przy tak nieodpowiedniej pogodzie
gdy z domu trudno się wychylić

Trzeba było przyjść o takim czasie
by sam na sam być z Twoim obliczem
i szczerze jak dziecko zapłakać

Kara za grzech

Postanowiłem przejrzeć książki
żeby zbędne oddać komuś
albo dyskretnie zostawić –

Przykucnąwszy przy półkach
wertowałem tomiki poezji
umacniając się w przekonaniu
że więcej niż milion poetów
chce zapanować nad metaforą
w tym romantycznym kraju –

Wyrzuty sumienia zmuszały
szukać jakichkolwiek powodów
by część dedykacji ocalić
zostawiałem więc książki
znajomych, miłych mi autorów
i tylko autorek pięknych –

Nie wytrzymała tego sowa
ze złocisto-brązowej statuetki
którą przyznano mi jako nagrodę
za mniej określony całokształt
i staranowała z górnej półki
ugadzając mnie boleśnie w plecy

Radziecki Żołnierz w Wiedniu

Jak na pełną przepychu siedzibę cesarzy
pasuje do metropolii monument z kolumnadą
i postimperialny jest w każdym swym calu
lecz błysk jego pozłoty odległy od Klimta –
bliżej mu do karabinu, młota i stali

Bez sensu szukać odpowiedzi na pytanie –
czy stoi ten żołnierz jako atrakcja turystyczna
ciekawostka z antypodów cywilizacji
czy na wieczną cześć i abstrakcyjną chwałę –

Wiedeńczycy otaczają monument opieką
dziękując Bogu że żołnierze co przybyli z daleka
nie wprowadzili w ich mieście swojego ładu

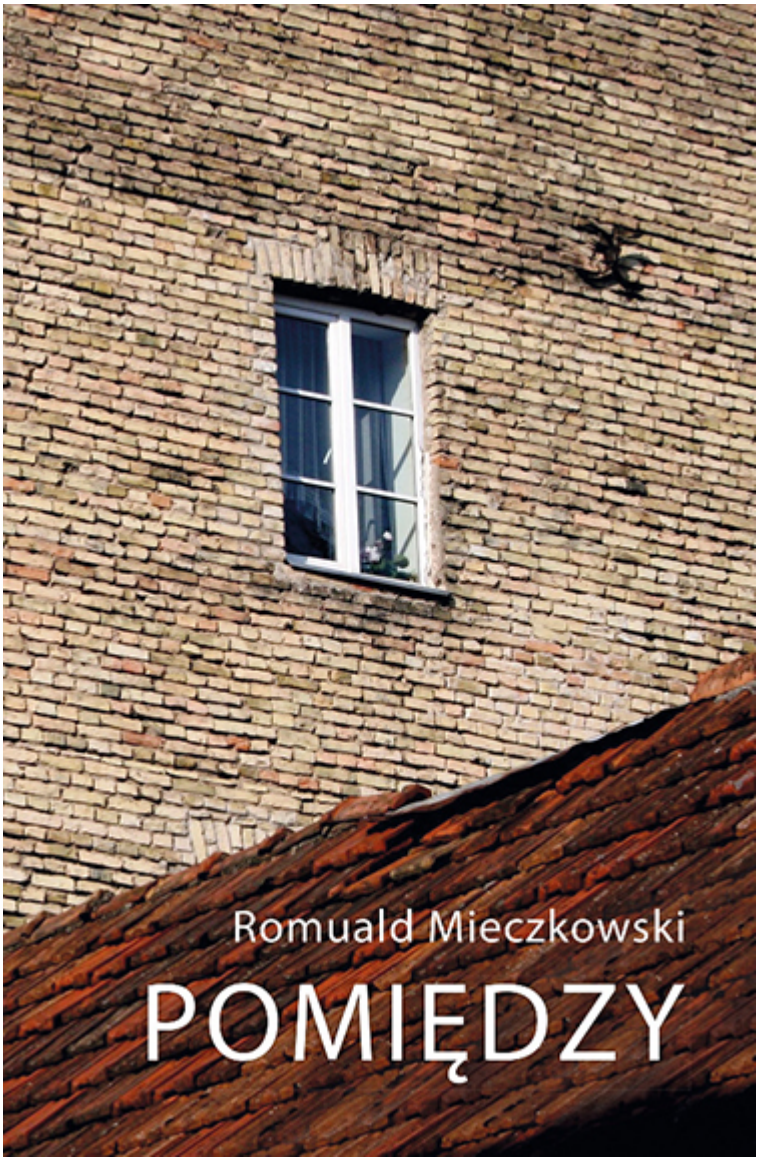

Romuald Mieczkowski, Pomiędzy, Biblioteka znad Willi, Wilno 2018.

Pod zachodnimi gwiazdami

fot. Krzysztof Kasprzyk

Krzysztof Kasprzyk *(Toronto)*

Nastrój późnego wieczoru. Wino, muzyka, głos doświadczonego mężczyzny w doświadczeniach swoich i innych ludzi. Szukanie prawdy w złudzeniach, w wydaje mi się, w oszustwach i podłych kłamstwach, w odczuwaniu siebie we wspomnieniach tak jakby wtedy już patrzyło się na swe uczestnictwo (przypadkowe/celowe/wymuszone) i na swoje dokonania z boku. Jakby chłodnym okiem reżysera zdarzeń akurat się dziejących.

Parę łez, parę kropel goryczy w tej pięknej melancholii przestrzeni półpustyni i pustyni pełnej, w tym przemierzaniu rozległości, która cię ścieśnia lub rozszerza, gubiąc w drgającej perspektywie horyzontu, gdy widzisz gwiazdy na zachodnim nieboskłonie. I idziesz lub jedziesz naprzeciw wiatrowi, który przeważnie dmie z zachodu przynosząc smak kurzu, tęsknoty, mocno bolących rozmyślań, wzmocnionych kolcami kulistych kłębków krzaków toczonych wiatrem i smagajacych cię po nogach. Wcale nie potrzeba cierniowej korony by doznać i zrozumieć…

Szedłem przez połowę swego życia od Wschodu, nastawiając i wystawiając twarz ku Zachodowi. Od czasu do czasu czułem za plecami czającą się groźbę ze Wschodu, drążącą nieufność, nie raz w najbardziej przyjaznych momentach. Od czasu do czasu czułem przed sobą nadciągający wiatr Zachodu, który w pozornej ufności okazał się sztyletem wbitym wprost w serce moim rodzicom. Oni, ich pokolenie, poczuli się kompletnie oszukani, przeznaczeni do wymazania z mapy świata. Po Żydach, Cyganach, homoseksualistach i chorych psychicznie a także kalekach, których przybywało coraz więcej, w miarę przesuwania się frontów. Może dlatego kaleki oszczędzono.

I stał się i mój czas doświadczeń, z zasianą wschodnią nieufnością i z okresowym żalem i wściekłościa wobec zachodniej obojętności i układności. Bo przecież w Polsce przeważające wiatry wieją stale od zachodu. One mnie nasycały, one mnie przywoływały, one mnie kusiły, one rozwiewały moje tęsknoty, powodując jeszcze większe uczucie żalu. Za Zachodem.

Zachód był mitem, symbolem, tęsknotą, marzeniem. W dusznym Peerelu był spotęgowany aż do bólu, bo czuło się uchodzącą z nas młodość i zdawało się, iż ona niemal w każdej minucie się marnuje, bezpowrotnie wypala. Lata 60. nawołujące do miłości, do układnia się z innym człowiekiem, były w dusznej atmosferze Peerelu falą zawiści i nienawiści, gdzie zmarnowani, zwiedzeni, ogłupiali i zakompleksieni starsi, pluli przeciw nam – za długie włosy, za styl bycia, za swobodę, za zazdrość bycia młodym, a wszystko to wypływało z doświadczeń wojennych.

Z lęków skrajności wyboru, z poczucia tchórzostwa, z dekowania się większości ludzi w oddaleniu od krwawego kła i pazura wojny, byleby tylko przetrwać. Potem także, przez niemal całe pokolenie, z racji zakisłej niby-stabilizacji, w jeszcze bardziej podgniłym poczuciu “wolności”. I próbowali to odreagować na nas, przy okazji nas zatruwając. Dzisiejsza nienawiść nie wzięła się znikąd, nie przyszła nagle. Ona się nawarstwiała, umacniała aż wpadła w ręce sprawnych iluzjonistów, wypłynęła szeroką strugą i chlusnęła nam prosto w twarz.

Mając za plecami Wschód, w którym znajdowałem pośród ruin, pogorzelisk, stosów kości czystej wody diamenty oporu i hardości, dumnego człowieczeństwa, z tym bagażem dobiłem do Zachodu. I czuję się niesłychanie wzbogacony tamtym zza

pleców i tym, z czym musiałem się zmierzyć prąc pod zachodni wiatr. W jego strużynach wyłapywałem to czego od lat pragnąłem i czego oczekiwałem – niezależności, swobody z jednoczesnym układaniem się z drugim, zanurzonym w innej kulturze, w innym oglądzie świata.

Najpiękniejsze i najwartościowsze było wykrywanie tych samych, człowieczych punktów odniesienia, by się ułożyć i serdecznie dogadać. Zaznałem tego najpierw w Berlinie, a w całej rozciągłości w Toronto. Przeto nigdy nie opuści mnie wdzięczność do bycia w takim miejscu, gdzie człowiek dla innego jest wciąż człowiekiem, nie mając jednocześnie złudzeń, co do sposobu urządzania nam życia przez tych rozkraczonych na górach pieniędzy, władzy i zaszczytów. Tych pozwalających nam dalej żyć złudzeniami wyniesionymi stamtąd – ze Wschodu. A także z rozharatanego, zwyrodniałego biedą i przemocą, Południa.

Północ z samej swej natury jest nieprzyjazna, zimna, niedostępna w wielkich ostępach pustaci, gdzie możesz zaniknąć z kolejnym oddechem. Na jej przedpolu zbudowano forpocztę zadufanej w sobie Cywilizacji – dostatku, szczęśliwości i wygodnictwa, popartych umiejętnością opanowywania się w ostatnim momencie. I dlatego z Południa i Wschodu płyną rzesze ludzi do krain obiecujących nie tylko ocalenie, ale i przetrwanie. Płyną topiąc sie masami, ich ciała puchną na wybrzeżach obietnic. Brną przez piaski półpustyni i pustyni składając kolejne, wybielone kości na ołtarzu tęsknot ludzkości – za lepszym życiem.

Czasem w ostatnim momencie dobiegnie ich głos doświadczonego mężczyzny, w doświadczeniach swoich i innych ludzi.

Wieczór z Bruce Sprigsteenem, słuchając jego nowego albumu „Western stars”:

https://www.youtube.com/watch?v=_IXzAAKrsFE&list=PLgaFNC_I_Zknl28UQScBxaKJTYYClAdUh&index=4

Korespondencja z Janem Bielatowiczem (1913-1965).

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wcześnie zmarły Jan Bielatowicz, krytyk, pisarz i redaktor, był barwną postacią w Londynie, gdzie go poznałem. Terminowałem w jego miesięczniku „Życie" i pamiętam jeszcze pochwały moich filologicznych artykułów, które spotkały się z jego szczodrą aprobatą.

Bielatowicza spotkałem w Londynie po przyjeździe ze studiów w Irlandii. Mogło to być już w 1950 roku. Być może przedstawil mnie jemu Wojciech Gniatczyński, mój kolega z irlandzkich studiów, który znalazł zatrudnienie w katolickim ośrodku wydawniczym „Veritas". W owym czasie zacząłem pisać wiersze i prace filologiczne próbując drukować je w prasie emigracyjnej. Przypominam sobie moją znaczniejszą rozprawkę o niemieckich tłumaczeniach *Pana Tadeusza,* którą Bielatowicz przyjął do miesięcznika „Życie" i bardzo chwalił.

Był jednym z nielicznych krytyków literackich na emigracji. Nie brakowało mu odwagi.i nie wstydził się bronić polskiej tradycji i ostrzegać przed odszczepieństwem. Wołał o miłość do ojczyzny i języka w patetycznych słowach:

> *A więc panowie akademicy: macie rację, że was nie bawi polska kultura, skoro w duszach waszych zagościła już na dobre kultura inna. Tylko, że to nie usprawiedliwia obojętności dla kultury macierzyńskiej. Bo tylko ludzie bez ambicji lub bez sumienia mogą się wyrzec swej matki. Strzeżcie się więc, abyście nie zgubili polskich serc. Bo z tej straty – nie wytłumaczycie się ani swoim ani obcym. Nie wytłumaczycie się żadnym językiem świata ani ludziom ani Bogu.*

W jednym z numerów „Życia Akademickiego" formułowal swoje sensowne postulaty pod adresem wychodźstwa:

> *Zadania polskiej emigracji kulturalnej są dwojakie: dotrzymywać kroku rozwojowi kultury w Polsce i próbować gromadzić i uzupełniać te dobra kulturalne, których Kraj nie może dziś wytworzyć.Troskę o przyszłość pozostawmy Krajowi.*

W 1954 roku Bielatowicz pojawił się na moim ślubie w Londynie, gdzie na przyjęciu poweselnym wygłosił dowcipne przemówienie podkreślając bratanie się kresów, Polesia i Śląska w osobach protagonistów ceremonii.

Z racji drukowania w piśmie Bielatowicza utrzymywałem z nim luźną korespondencję, w której z czasem zaczęły się pojawiać echa jego reakcji na ataki ze strony młodych wydających pisma „Życie Akademickie", a później „Merkuriusza" i „Kontynenty", z którymi byłem związany.

Już w liście z 30.12.1958 roku skarżył się:

> *Że moje sądy nie podobają się merkuriuszowej młodzieży literackiej, wiem już nie od dziś. Są wśród niej tacy, którym ułatwiałem pierwsze kroki literackie w druku, a którzy potem wymyślali mi niegrzecznymi epitetami. Inny poeta, gdym do jego utworów dorobił przecinki, nawymyślał mi od złodziei, jeszcze inny dawal mi pouczenia, kogo należy uważać za emigracyjnego poetę.*

Po pożegnalnym numerze starego „Merkuriusza” nie ma złośliwości, do której by wychowana na wzorach zachodnich w duchu demokracji, młodzież nie była zdolna. W przedwojennej Polsce istniały pisma, które się utrzymywały z paszkwilanctwa. Redaktor odpowiedzialny posiedział trochę, ale sadła zalał za skórę komu chciał. Na emigracji zadanie jest łatwiejsze, ponieważ obelg nikt nie piętnuje.

Z nieco większą nadzieją w ‘Notatkach’ „Życia” pisał:

Wystrzelono już w emigracyjną próżnię kosmiczną nową rakietę pod nazwą „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”. Bardzo sympatyczne jest to, że w pierwszym numerze nowego „Merkuriusza” zespół odwołał, późno, ale szczerze, znaczną część połajanek z ostatniego numeru „Merkuriusza”. Miło przeczytać kulturalne i rozsądne uwagi na ten temat Wojciecha Gniatczyńskiego i Bogdana Czaykowskiego. Poza tym życzymy powodzenia na nowej drodze życia. I koniecznie porządnego korektora. Brak korektora nie przyniesie szkody chyba tylko nowoczesnej poezji.

Nieco poźniej w dyskusji w „Kontynentach” komentował w liście:

Zabawna jest ta wasza dyskusja, z której wynika, że jeśli się czegoś nie czytuje, to znaczy że to „coś” jest złe, czyli argument z ignorancji. Tak przynajmniej, raczej cynicznie, wypowiedziała się opozycja przeciw „Wiadomościom”. Nie czytamy, bo są złe. Bardzo czarujące. Ostatecznie, oprócz Mieroszewskiego, Gombrowicza i Milosza, ci sami autorzy obsługują „Wiadomości”, co „Kulturę”. Stąd by wynikało, że nawet geniusz potrafi zmienić się w grafomana zależnie od tła. Coś jak kameleon. A już najbardziej kapitalnie brzmią sądy o wszystkich autorach spoza grupy „Kontynentów” jako o urodzonych grafomanach. Czerniawski czyta cudze wiersze tylko po to, aby stwierdzić genialność własnych.

Zaprosiłem Bielatowicza do zabrania głosu w kwestii literatury na emigracji po artykule Danilewiczowej. Odpowiedział:

Nie chciałbym jednek zabierać głosu w sprawie rzeczy Pani Marii, bo niezależnie od jej metody krytycznej (cenzurki) i samej oceny wartości poszczególnych pisarzy

emigracyjnych (z jej ujęcia wynika, że wszystko, co dotąd na emigracj napisano to mała kropelka wody wobec gigantycznych walorów poezji grupy „Kontynentów”) musiałbym chyba napisać drugi takich samych rozmiarow raport ze sprostowaniami ogromnej ilości błędów, omyłek, przeinaczeń, opuszczeń itp. Pani dr pisala ten referat, jak sądzę, na kolanie i upstrzyła go setką błędów rzeczowych, o których pewne (np. że Czuchnowski ‘objawił się jako poeta dopiero w 2 Korpusie) trącą skandalem zważywszy, że pochodzą spod pióra poważnej pisarki. Nie mam osobistych porachunków z Autorką, bo aż nadto pochlebnie mnie w swej pracy powitała, ale tak naprawdę nie można. To oczywiście, tylko dla Pańskiej prywatnej wiadomości, bo nie chciałbym szanownej Autorki urażać.

Muszę powiedzieć, że bardzo mi sie podoba Sito w swojej roli w Kraju i niesłusznie „Kontynenty” go zaatakowały. On jednak wyciągnął praktyczne konsekwencje ze swej antyemigracyjnej postawy, zupełnie inaczej niż np. Taborski.

Obiecany artykuł napotkał jednak na przeszkody.

Co się tyczy mojego artykułu, o czym mi Pan przypomina, musiałem zmienić zdanie. List, jaki PP Czaykowski i Sulik, redaktorzy „Kontynentów” napisali do „Dziennika” po mojej recenzji z ich książki, utwierdził mnie w przekonaniu, że nie będzie między nami nie tylko porozumienia, ale nawet trudno znaleźć jakąś wspólną kulturalną bazę. Coraz więcej mnie dziwi fakt, że tak szumnie sławiony wpływ obyczajów anglosaskich na młode pokolenie, zamiast nauczyć go manier publicystycznych, obraca się w umysłach i temperamentach tego pokolenia w niwecz. Styl dyskusj redaktorów „Kontynentów” (myślę o wyżej wspomnianych) przypomina obyczaje panujące w Mongolii Zewnętrznej. Nie umiałbym w takim gronie powiedzieć ani słowa. Jeśli ci panowie chcą mieć za wszelką cenę rację, niechże ją sobie mają dla siebie.

W kolejnym liście z 1962 roku Bielatowicz donosił:

Artykułu, o którym kiedyś mówiliśmy, nie napiszę, bo mam już wypełniony kalendarzyk zajęć aż do czerwca b.r. Ale bardzo chętnie wezmę udział w wieczorze na temat – Czy pogrzebać „Kontynenty”? Prosiłbym jednak o prawo do gadania

przez jakies 25 minut, bo chciałbym wygarnąć wszystko i od serca, nie tyle na osobiste tematy, jak to bywało w zwyczaju Kontynentalistów, lecz na tematy ideowo-pokoleniowe. Nie byłaby to zresztą, jak śmiem tuszyć chała ani kit, lecz z lekka wesoła pogaduszka. Myślę, że pomysł jest ciekawy i może rozpalić widownię (if any). Czekam na odpowiedź w tej materii.

Przy sposobności przepraszam, że nie przywitałem się z Panem na zebraniu z Zawieyskim, ale byłem tak wściekły na mówcę za te brednie, które plótł jak Piekarski na mękach, żem po prostu uciekł, żeby nie zrobić jakiejś karczemnej awantury. Sztandarowy katolik przyjeżdża z misją politruka i do ludzi mieszkających na Zachodzie prawi dyrdymały w stylu Chandry Umyńskiej lub zebrania komsomolców w Stalinowej Wólce opatrując to cytatami z Papieża. Aż wstyd pomyśleć, jak nisko się potrafią niektórzy stoczyć, gdy im zasmakuje dygnitarstwo. Więc nawet nie mogłem ust otworzyć po tym ponurym widowisku i słuchowisku i wypadłem jak oparzony, byle najdalej.

Kiedyś w naszej korespondencji padła taka opinia Bielatowicza o wspólnym przyjacielu:

Wojtka Gniatczyńskiego zgubił obóz niemiecki. Wyszedł z niego zupełnie rozbity fizycznie i chyba nie wróci nigdy do normalnego funkcjonowania intelektualnego. Wielka szkoda.

Kiedy w 1962 roku podjąłem się prowadzenia samemu „Kontynentów” Bielatowicz się ucieszył.

Mam nadzieję, żę pismo to nareszcie posteruje we właściwyn kierunku, tzn. nie zrzekając się odrębności i własnej niezależności, włączy się do nurtu twórczości ogólnonarodowej bez demagogicznego i jałowego efekciarstwa i wystawiania języka wszystkim innym rodakom zajmującym się kulturą poza łamami „Kontynentow”. Niech się Pan nie przejmuje „odejścien” różnych obiecujących talentów. Od dziesięciu lat obiecują i niczego nie dokonali. Czaykowski się marnuje – wielka szkoda. Sulika warto utrzymać przy filmie. Ostatnio bardzo ciekawie pisze Darowski. Czerniawski może z pożytkiem pisać o poezji angielskiej,

byle sam nie pisał wierszy. Natomiast z lekkim sercem pozbyłbym się Taborskiego jako publicysty. To jest arogant i nic więcej. Jego oceny i wystąpienia mają charakter wieców w powiatowych miasteczkach. Owszem, sporo wie on o literaturze angielskiej i gdyby się do tego ograniczyl, mógłby być pożyteczny. Niestety, usiłuje grać rolę proroka. Ta jego pogróżka, że odejdzie „w inny świat" brzmi infantylnie…

Mnie się też dostała jego ironia, kiedy napisał w następnym roku:

Cieszę się ogromnie, że Pan zechciał rzucić okiem na moją recenzję wierszy Hemara i dziękuję za informację, że są to „zręczne wierszyki", a nie poezja. Uzbrojony w tę wiedzę, rad bym ją kiedyś uzupełnić Pańskim doświadczeniem, co nazywamy poezją.

O ile pamiętam, sprawa została w zawieszeniu.

———

O Janie Bielatowiczu:

https://www.cultureave.com/pisarz-ktory-nie-zasluzyl-na-zapomnienie-jan-bielatowicz-1913-1965/